

## **Wizja lokalna**

### **(czyli Centralny Urząd Miar i Wag)**

Drzwi do ich mieszkania są otwarte. Wystarczy zapukać, a uchylają się same. W drugim końcu przedpokoju znowu drzwi. Rozwarte na oścież. Nikt nie odpowiada na wołanie. Z progu pokoju widać mężczyznę. Jest jeszcze młody. Taki w sam raz na tatę 17-letniego syna. Leży na składanej wersalce, przykryty niemodnym pledem w pasy. Cepelia sprzedawała takie w latach 70-tych. Widać tylko rękę z prawie pustą butelką i skurczoną w niespokojnym śnie twarz. Z drugiej strony pledu wystaje noga w niepotrzebnym bucie.

But jest elegancki. Czarny, błyszczący, nowiutki. Na krześle wisi czarna marynarka. Nowa. Droższa od kanapy, pledu i butelki razem wziętych. Na niej krawat, przerzucony tak, jakby przed chwilą zdjęty był z szyi, chociaż od pogrzebu minął już tydzień.

- Ja z nikim nie rozmawiam, bo nie mam nastroju – ocknął się i mówi łypiąc ni to na mnie, ni to na butelkę. – Pani wie, syna mi zabili. W zeszłym tygodniu. To ja nie przyjmuję gości – oświadcza cicho i stanowczo. Chwilę milczy, jakby słuchał i próbował zrozumieć to, co sam przed chwilą powiedział. – Adam... Adam! Aaaaam!!! - najpierw cichy i zdławiony, potem potępieńczy krzyk, w końcu wycie.

Magnetofon włączyłam jeszcze w pierwszych drzwiach, więc teraz tylko stoję i patrzę na skalę pomiaru dźwięku. Czy z tej odległości dobrze słycać? Czy się nagrywa? Czy krzyk nie deformuje dźwięku? Bezradnie obserwuję, jak brakuje skali w potencjometrze. Znowu cisza. Mężczyzna milczy wyciągnięty na kanapie. Ciało pod pledem, ręka z flaszką, twarz w skurczu i but. Stoję w progu. – A pani do kogo i w jakiej sprawie? – Pyta po chwili i nie czekając na odpowiedź oznajmia spokojnie, jakby się chciał wytłumaczyć – Bo ja nie przyjmuję gości. Nie mogę rozmawiać, bo, pani wie, syna mi zabili. – Krzyk po następnej ciszy jest jeszcze głośniejszy. Żaróweczki potencjometru odmawiają pracy. Po prostu zapaliły się wszystkie na raz i nie chcą zgasnąć. Potem zaczynają dziwnie wibrować, chociaż mężczyzna w jednym bucie właśnie pociągnął z butelki i znowu zamknął usta i oczy. A żaróweczki wciąż wibrują i pulsują w ciszy otwartego na oścież pokoju.

Gdyby w Sevres pod Paryżem była półeczka na rozpacz, stanęła by na niej menzurka z powietrzem z tego pokoju.

## **2**

Do mieszkania wchodzi jego żona. Stawia siatki z zakupami na podłodze i ciągnie mnie za rękaw. Siadamy w kuchni.

- I po co to komu teraz?- Bardziej stwierdza niż z pyta.- Przecież go złapali. Nawet noża nie umył. Butów nie sprzedał- milknie. – Po co to komu teraz? Ja o nim nie chcę ani myśleć, ani mówić. Nawet w sądzie boję się go zobaczyć. A jeszcze bardziej jego matkę. Ona teraz też płacze. Złego ma syna, mordercę. – Długa cisza. - A pani z tym magnetofonem po śmierć chodzi. Cudzą. Po co to komu teraz?- powtarza w kółko, ale bez złości. Trze oczy, które boją. Pochyla się nad zlewem. Myje twarz. – Co ja mogę pani powiedzieć? Że Adam był dobry? Najlepszy? Że kłopotów sobie nie szukał? Zawsze pytał, czy może wyjść? Zawsze pytał, o której ma wrócić? Na te buty składał z dwóch praktyk. Jeszcze mu na koniec dołożyłam. Lubił mieć coś porządnego.

Wtedy to go wywołali. Jakby chciał z nimi jechać na tę dyskotekę, to by wrócił do domu i spytał. Zawsze tak robił i zawsze dostawał kieszonkowe, żeby się przed dziewczynami nie wstydzić, że nie ma na napój czy tam co teraz młodzież lubi... A tamtej soboty nic.

Zawsze patrzyłam przez okno, jak odchodził. Lubiłam, że taki przystojny. A on się złościł "co ty mama znowu tak szpakujesz"- milknie. Zwężone, opuchnięte oczy wędrują ze stołu z kraciastą ceratą na firankę i widzą tamto odchodzenie na chwilę. Uszy słyszą tamto "zaraz wracam".

Łapie się za gardło, wychyla przez okno, żaróweczki w potencjometrze znowu dostają szału. - Adaaaam!!!- rozlega się na całą ulicę. Na chodniku śmieją się maturzyści. Chyba zdali, bo mają białe bluzki i są trochę pijani.

Z pokoju obok tylko głuchy stuk upuszczonej butelki.

Znowu kran. Woda na twarz, a potem do czajnika. Dwie kawy w szklankach z tęczowym deseniem. Takie były najmodniejsze w latach 70 – tych. Że też ciągle są ludzie, którym się nie wytłukły. Gruby kozuch wynosi się nad szkło, tak, że nie mieści się cukier. Siada. Skubie ceratę. – Pani nic nie pyta. Myślałam, że dziennikarka, a dziennikarze pytają. – Patrzy na mój mikrofon położony niby przypadkiem w poprzek ceratowej kraty. – A może jednak coś powiem – rzuca ni stąd ni zowąd, lekko, prawie frywolnie. Sięga do torebki przewieszanej przez krzesło. Wyciąga lusterko i szminkę. Maluje usta. Zastanawia się w ciszy. Gestem pani domu wskazuje na szklanki i cukierniczkę. Wystaje z niej łyżeczka z udawanego srebra. Miesza. Kozuch spływa ciurkiem po szkłe na ceratę. Bierze łyk. Szminka osadza się na brzegu. Znowu łyk. Cedzę z nią. Czuję kozuch między zębami i lepkość w gardle. Gorzko.

– Może jednak coś powiem – powtarza. Bo wie pani, w naszej gazecie czytałam, jak redaktor napisał, że nasi chłopcy chcą iść na tamtych z nożami. Za Adama. Bo jego wszyscy lubili. W sobotę nad stawem po dyskotecę chcą im zrobić wojnę. A jakby nie wyszło, to pójdą w niedzielę na tamto osiedle, skąd ten chłopak, co zabił i będą się mścić.- Znowu cisza. Palcem

ściera ślad szminki ze szklanki. – To może ja jednak coś powiem – gestem dłoni przywołuje mikrofon. Raz jeszcze sięga do torebki. Poprawia kolor ust. Bierze głęboki oddech. Zastanawia się. Odwleka tę chwilę. Jeszcze łyk kawy, jeszcze jeden ślad szminki, w końcu mówi:

- Chłopcy! Nie róbcie tego! Adama już nie ma. Adama już nie będzie. Życie teraz jest dla was. Nie róbcie złego. Wy chcecie być mężczyznami, a potem wszystkie matki płaczą – milknie i odgania mikrofon.

Gdyby w Sevres pod Paryżem była szufladka na troskę, leżałby w niej odłamek cieniowanego szkła z resztką kożucha szczerze zaparzonej kawy i śladem jej szminki.

### 3

Tym razem jest nas wielu. O prokuratorze mówią, że jest swojski człowiek i nie goni prasy. Rejestrujemy. Pozwolił. Jest telewizja. Może kupią do dziennika. Warto nagrać. Tylko twarz sprawcy trzeba zasłonić. Od tego jest komputer. Można kręcić jak się chce, a potem co trzeba zamazać. Koleżanka ze "Słowa" ma tremę. To jej pierwszy raz, chociaż pracuje już 10 lat. Zwykle w wizji lokalnej nie pozwalają uczestniczyć, ale ten prokurator jest inny. Idziemy grzecznie za nim. Pierwszy redaktor z miejscowej gazety. Jest najważniejszy z nas. To on zadzwonił do Wrocławia i powiedział, że można przyjechać. Policjantowi, który robi film dla sądu, zepsuł się mikrofon. Pyta mnie czy pożyczę. Nie mogę.

- A da mi pan potem swój dźwięk?- Nie da, nie wolno. No to nie pożyczę. W końcu obiecuje, że odda zaraz po tym, jak prokurator powie "stop" i załatwi mi za to rozmowę z komendantem. Zgadzam się.

Prokurator ma długi lekki płaszcz. Sprawca kurtkę i mięśnie, które się w niej nie mieszczą. Prokurator jest smukły i sprawia wrażenie delikatnego. Mówi do sprawcy na "pan". Sprawca przedstawia się do policyjnej kamery. Imię, nazwisko, pseudonim. "Słonik"

- Czy może pan pokazać, w którym miejscu pan go spotkał? Niech pan wskaże, jak się pan za nim skierował? Gdzie pan miał wtedy nóż? Proszę mi pokazać, gdzie pan uderzył? Jak pan przyłożył nóż? Gdzie upadła ofiara? Proszę zaprezentować, jak ściągał mu pan buty? Czy ofiara czołgała się? Czy leżała w bezruchu? Czy sprawdzał pan, czy jeszcze żyje? Sprawca odpowiada szczegółowo i jest grzeczny. Chyba mu się podoba analityczne myślenie prokuratora. "Słonik" jest esteta. Lubi porządek. Skini tak mają. A Adam był fluj i miał drogie buty. Takie "chodzą" na osiedlu znacznie taniej niż w sklepie, ale i tak się opłaca. Nikt nie pyta, z kogo zdjęte. Stop.

Mikrofon wraca do mnie. Prokurator mówi składnie i na temat. Koleżanka ze "Słowa" ma kilka pytań. Ja też. Tyle zbrodni na tak małym terenie. Morderstwa, gwałty i dwa w jednym.

Tyle miesięcy bezowocnych śledztw, tyle sił, środków i ekspertów, a jemu się udało na 24-godzinnym dyżurze ustalić, kto zabił Adama. Chociaż nie było żadnych śladów. Tylko zwłoki i dziura w sercu. Odpowiada klarownie, pełnymi akapitami. Łatwo będzie zmontować. O kolegach po fachu ani złego słowa. Są sprawy trudne i bardzo trudne. Niektóre wymagają czasu. Wszystkie są do rozwikłania. Nie ma sprawcy, którego nie można ustalić. Czasami trzeba więcej sił, środków, ekspertów. Obie przeczuwamy, że powiedziała by więcej, ale nie tu, nie tak, nie teraz. Może bez mikrofonu? Szepczemy sobie na ucho, że może by go tak na kawę. Ale koleżanka ze "Słowa" nie ma czasu, a ja odwagi. Telewizja czeka w kolejce.

Wywiadu z komendantem nie będzie. Policjantowi jest przykro. Szef nie wysiadł nawet z samochodu. W czasie wizji jechał wolniutko za nami. Zaraz po "stop" zawinął na piaszczystej drodze przy stawie, podniósł szybę i odjechał. Twarz miał bez wyrazu, a oczy tak szklane, jak u pluszowych misi, którymi bawiły się dzieci w latach 70- tych.

– Pewnie się bał, że będzie pani pytać o te inne sprawy, które nie wyszły. On nie lubi, jak mu się wylicza niczyje trupy z jego terenu. A pani to robi – tłumaczy się policjant od mikrofonu. Gdyby w Sevres pod Paryżem była grzęda na wstyd, siedziałyby na niej tamte misiowe oczy za szybą radiowozu.

#### 4

Na pierwszej rozprawie "Słownik" wyparł się wszystkiego, co powiedział na wizji.

- Niech się wypiera, jego prawo. I tak mu to nie pomoże – prokurator nie jest zmartwiony. Przechyla się w niemodnym fotelu z lat siedemdziesiątych. Całe biuro wygląda tak, jakby dwadzieścia parę lat nie minęło. Palma, błyszczący regał, segregatory, maszyna do pisania i on: popielaty, dobrze skrojony garnitur, kamizelka z rzędem nienagannie zapiętych guzików i ciasno związany krawat, który go nie krępuje. – Zabił drań, więc dostanie tyle, ile kodeks pozwala. I ani roku mniej – dodaje i kiwa się w fotelu, już znacznie mniej dostojnie, niż wygląda. Bezwiednie unosi palec do ust i przygryza paznokiec. Drugą ręką sięga po chusteczkę uprasowaną w kant. Przeciera nią usta i dyskretnie pozbywa się dowodu na zdenerwowanie. Chyba widzi, że go na tym przyłapałam, więc przeprasza, że kawa bez śmietanki. Wyłączam magnetofon. Wiem, że dziś już nic więcej nie powie.

Gdyby w Sevres pod Paryżem była szkatułka na profesjonalizm, złożony byłby w niej wstydlivy skrawek tego paznokcia.

#### 5

Redaktorowi miejscowej gazety nie idzie pizza.

- To jest jakiś nienormalny świat! Może inni się cieszą, że jest dużo świeżych trupów, to gazeta schodzi. Ja to pierdołę. Wolę napisać, że rada gminy uchwaliła kilometr nowej drogi i

dzieci będą miały bliżej do szkoły. Czy ludzie będą to czytać? Będą, bo to ich droga, ich szkoła, ich dzieci i ich gazeta. A jakby im tego było mało, to wsadzę do numeru romans w odcinkach. O prawdziwej miłości. Umiesz napisać? To już! Kupuję. Będą mieli i od serca i po kolei.

Pizza jest dobra, lokal estetyczny. W samym rynku. Magnetofon włączyłam, bo czegoś mi brakuje, ale jego to nie obchodzi. – Ty to już też masz napieprzone, żeby mlaskanie nagrywać- dobrze udaje złośliwość. Lepiej zrób o łapówkach, bo u was we Wrocławiu na pewno władza bierze więcej za przetargi niż u nas. Albo napisz mi romans w odcinkach. Żeby mi się ten keczup z krwią nie kojarzył- miejscowy redaktor wyraźnie ma dość ostatnich wypadków, o których musi pisać, bo są miejscowe, jak jego gazeta. Zgarnia maż, która dobrze udaje włoski sos na polskim placku i próbuje wyłowić z niej grzyby.

– Żeby takie dziewczynki, które jeszcze nie noszą stanika, już musiały latać do psychologa, bo im jakiś zboczeniec pokazał męskość od przodu? Żeby płakały po nocach, że seks to bicie i podarte majtki? Żeby umierały z wykrwawienia, bo nikt nie pomógł i nie wezwał policji albo komendant olewał takie "puszczanie się po wódzie"? – miejscowy redaktor wyraźnie się nakręca. To raczej nie jest jego najlepszy dzień. Nigdy dotąd nie słyszałam, żeby przeklinał.- Siedzisz tu sobie przy pizzy, a tam...- rzuca widelec. Nóż ląduje w czymś, co było polskim pomidorem zanim stało się włoskim sosem. Patrzy na zegarek. Musi jechać po córkę. Zaraz wyjdzie z lekcji angielskiego.

- "Słonik" dostał maksa i do starości go nie zobaczymy. Wpadł w łapy komu trzeba, to siedzi. A reszta? Zabici za buty, za orgazm, za byle gówno? Muszę lecieć. Mała kończy angielski. Pani mieszka przy parku.

- Daj spokój, przecież jest jeszcze jasno.

Nieważne.

- Przecież to małe miasto.

Nieważne.

- Przecież to duża dziewczynka.

- No właśnie.

Na wieży ratusza, na przeciwko jedynej pizzerii w mieście, zabytkowy zegar z kościotrupem odmierza kosą godzinę 19-tą.

Miejscowy redaktor odsuwa talerz. Pół pizzy stygnie w beznadziei. Chwyta mnie jeszcze za rękę z widelcem. – Pomyśl o tym romansie. Tylko żeby się trzymał kupy i był w odcinkach. Wtedy ludzie kupują gazetę co tydzień – rzuca i zerka na przegub własnej ręki. Najbardziej ułożony z redaktorów lokalnych gazet, jaki zaprosił mnie na pizzę, zapomina przeprosić.

Zapomina podziękować. Zapomina zapłacić. Wybiega. W drzwiach widzę jeszcze jego plecy, kluczyki od samochodu w ręce i bezwiedny gest spoglądania na zegarek, choć doskonale wie, która godzina.

Gdyby w Sevres pod Paryżem była szufladka na miłość, złożony byłby w niej ten zegarek.